

Rycerz Krzyworyj z Korczakowa został właśnie obudzony delikatnym muśnięciem żelaznej ostrogi brata Lancelota z Kornwalii.

- Na honor! Wstawaj Ryjek! - ponaglił angielski brat, miękko i śpiewnie wymawiając „r”. - Pora na modły!

Krzyworyj pocierając guza, który właśnie radośnie mu wyskoczył, skrzywił się szpetnie:

- Lancy, kurde, czy mógłbyś być delikatniejszy? Ja tak dalej pójdzie, to nie będę musiał nawet sam się biczować.

- Na honor! Narzekając, hańbę przynosisz świętemu zakonowi naszemu! - uniósł się Lancelot z Kornwalii. - I na honor! Ile razy mówiłem, żebyś nie nazywał mnie Lancy, na honor!

- A ty nie nazywaj mnie Ryjek, Lancy - odparł spokojnie Krzyworyj z Korczakowa.

Lancelot poczerwieniał jak smok św. Jerzego i dobył z pochwy miecza.

- Na ubitą ziemię! - opluł się Kronwalijczyk.

Krzyworyj popatrzył chwilę na kolegę, wzruszył ramionami i wyciągnął rękę po swój miecz.

Jakoś nie mógł go znaleźć.

- Zaraz...momencik, drogi bracie Lancy. Gdzieś tu musi być - reflektował wzburzonego Lancelota, grzebiąc najpierw w swoich łachach, a później rozszerzając obszar poszukiwań na pobliskie krzaki. W końcu zniecierpliwiony ryknął na swojego słowiańskiego pachółka.

- Jarzytrąbek! Jarzytrąbek, ty pokrako świdnicka! Gdzie żem zapodział swój miecz?!

Mały, piegowaty chłopak przyskoczył do pana. Pokłonił się, pomyślał chwilę i pobiegł do lasu. Po chwili ciągnął za sobą kawał zardzewiałego żelaza, ubrudzonego ziemią.

Krzyworyj wziął miecz, machnął nim na próbę, aż przyklejona glina oderwała się i wylądowała na gębie Jarzytrąbka.

- Gdzie był? - zapytał rycerz.

- No, wiecie panie...zawsze zapominacie miecza, kiedy idziecie za potrzebą.

- Aaaaa...no, czasem mi się zdarza - Krzyworyj zamyślił się. Po chwili popatrzył podejrzliwie na giermka. - Hej, ty! Skąd żeś wiedział, gdzie leży miecz? Przecież za potrzebą nie łążę w towarzystwie? Huh? Czyżbyś podglądał, jak sram?!

Pachółek wyraźnie poczerwieniał.

- N...no...no to, ja może po jakąś rybkę nad jezioro pójde? Tak, żeby na śniadanko była? - zająkał się.

I już go nie było.

- A to ci obrzydliwiec jeden - mruknął Krzyworyj i popatrzył na Lancelota.

- No, to możemy stawać na zroszoną ziemię.

- Chyba na ubitą!

- No, niby tak. Ale tak się składa, że dośwadcza mnie właśnie przemożna potrzeba, aby ją zrosić - odparł Krzyworyj, a że był bratem skromnym, to odwrócił się do Lancelota plecami i w niejakiu odosobnieniu ulżył swojemu pęcherzowi. Kątem oka zauważył gapiącego się Jarzytrąbka, który wcale nie poszedł po rybę, tylko ukrył się za najbliższym drzewem.

- Jarzytrąbek, ty cholerny sodomito! Tuszę, żeś przyniósł mi już tą rybkę? Bo jak nie, to zrobimy polewkę zaprawianą twoimi flakami! - rozdarł się rycerz.

Owe krzyki musztrujące wierną służbę obudziły kanonika Gwizdałę.

- Cóż tam, owieczki moje? - zaszeptał czule, mrużąc oczy przed wschodzącą właśnie jutrzenką.

- A nic, księżu kanoniku. Ot, będziemy się tylko pojedyńkować - odparł Lancelot z Kornwalii. - Możecie spać dalej, na honor.

- Ach, dobrze zatem...dobrze...- odparł kanonik, odwracając się na drugi bok i ostentacyjnie pokazując jutrzence cztery litery.

Lancelot chwycił swój srebrzyście połyskujący miecz i uśmiechnął się pokazując równie srebrzyście połyskujące zęby. Krzyworyj spojrzał na swój miecz. I zaczęły nachodzić go wątpliwości. Trochę zaniedbał swój rycerski rynsztunek ostatnimi czasy. Miecz był ewidentnie zardzewiały, tarcza podgięta od czasu, kiedy przez nieuwagę wyjechał koniem w drzewo. Swoją drogą, głupia szkapa z tego Bucefala. Generalnie, nie wyglądało to dobrze. Dlatego Krzyworyj zaczął myśleć. Czasem mu się zdarzało.

- Wiesz, co Lancy...ekhem...to znaczy, drogi barcie, podnużku mój najmilejszy. Może byśmy tak przełożyli naszą potyczkę do obiadu? Bo widzisz, to nie godnie bić się tak na pusty żołądek...

- Stawaj, Ryjek, bo cię ubiję i na zroszonej, zajedno mi!

- Ej, to nie po chrześcijańsku! I to własnego, własniutkiego brata zakonnego!? - z rozżaleniem rozdarł się Krzyworyj. - Rozgrzeszenia nie dostaniesz!

Lancelot zawahał się. I kiedy tak się zastanawiał nad możliwością nie uzyskania *absolutio*, kątem oka zobaczył coś, co kwestię rozgrzeszenia odsunęło na drugi plan. A nawet trzeci. W rozrzuconych łańcach brata rycerza dostrzegł bowiem własne dwie cenne sztuki pergaminu. Podbiegł do nich zaraz i zobaczył, że widnieją na nich rysunki nadobnej damy. W negliżu.

Lancelotowi zaszkliły się oczy.

- Moj pergamin! Ty słowiańska, wychędożona świniu! Mójci pan ojciec dał dwie wsie za pięć kart, a ty wyrysowałeś na nim sromotnie rozdzielone białogłowy?!

Krzyworyj cmoknął ze zniecierpliwieniem i przewrócił oczami.

- Primo: to nie ja rysowałem, tylko zaniósł do skryby. Secundo: owe niewiasty nie są rozdzielone, przecz mają halki. Tertio: jesteś sztywny, jak saracen na palu! Toż nic złego nie ma w popatrzeniu sobie na urodną dziolchę, nu?

Lancelot popatrzył chwilę z niedowierzaniem na konfratra wielkimi, lazurowymi jak to to, nie przymierzając, włoskie wybrzeża oczami, po czym zawrzeszczał:

- Na świętą Gertrudis! Ubiję! Jak Boga kocham, ubiję tego pacana!

ciąg dalszy nastąpi...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kardemine, dodano 08.07.2013 09:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.